Rok 1894 | We Lwowie, dnia 1 Stycznia | Nr. I.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO"

pod redakcją *Stanisława Rossowskiego.*

W młynie.

Z szumem górski potok płynie,
Dniem i nocą koło warczy;
Mielą mąkę w świata młynie,
A lud woła: nie wystarczy!

Szumi potok, młyn wciąż miele,
Dniem i nocą koło warczy;
Minie jeszcze czasu wiele
Nim dla wszystkich chleba starczy.

Gdy pragniesz poznać świata czar...

Gdy pragniesz poznać świata czar,
Czekaj, aż zajdzie dzień —
Aż ucichnie wokół zgiełk i gwar,
Zapadnie nocy cień.

Idź w same pola, głowę skłoń
Na wonne zioła łąk;
Spojrzyj w pogodną niebios toń,
Cóż ujrzysz? — jasność wkrąg!

Ujrzysz niezmierną świateł moc.
Wspaniały wszechświat ten —
Dokoła ciebie jasna noc
Rozsiewa ciszą — sen.

Lecz wytęż wzrok, lecz wytęż słuch,
Wzleć w przestrzeń górnych stref —
Usłyszy tam twój smutny duch
Muzykę gwiazd i śpiew!

I wszędzie życie ujrzysz tam
Wśród świateł, barw i brzmień,
A zachwycony, przyznasz sam:
Piękniejsza noc niż dzień!

Józef Klemensiewicz.

Cudowny kamień w Gwinei.

W głębi gorących lasów Gwinei, w niedostępnej ustroni, w cieniu drzew splątanych, głęboko w ziemię wryty, trawami osłoniony — leży cudowny kamień. Na całym lądzie Afryki, jeden tylko taki jest, może na całym świecie jeden tylko! Choć on w gąszczach schowany, choć żadna tamtędy nie prowadzi droga, ani do wybrzeża złotego, ani do pięknej Monrowi, ani do bystrego Senegalu, ani do legowisk, gdzie słoń swe zęby kosztowne składa, to przecież skręca tam często karawana nim się w piaski Sachary zanurzy, nim błękitnego Atlantyku dobije, lub przynajmniej odrywa się od niej ciekawy wędrowiec, a już samotnie podróżujący Arab, Murzyn lub Zulus dziki, kroki swe zawsze w to miejsce kierują i w zaroślach kamień odnajdą.

A warto, oh, jak warto wędrować do tego głazu zimnego, niby martwego, niemego! W piersiach jego czarodziejskie mieszka życie, wielka tajemnica przyszłości, a kto na nim głowę złoży, i myśl swoją tak uciszy, i uczucie opanuje, że na jedną choćby chwilę zapomni całkiem o sobie, i serce całe napręży na ciche szepty przyszłości, w kamienia pozornym grobie, wewnętrzną mowę usłyszy, która mu cuda wysnuje i wrota tajemniczości przed jego duszą otworzy.

W gęstwinie zeszło się kilku pielgrzymów; każdy z innej przybył strony, a każdy pragnął wyrocznię dla siebie usłyszeć.

Patrzcie! Ten Arab znędzniały, spalony żarem pustyni, któremu dżuma zabrała rodzinę całą, sierota, żeby smutek rozerwać puścił się w świat, zgrai wrażeń wołając, aby mu biczowała duszę, byle nie czuć bólu i tęsknoty i oto odszukał cudowny kamień, głowę na nim złożył, oczy zmrużył, duszę wytężył i słucha w półśnie... Patrzcie, żółtość jego twarzy mieni się w słoneczną pogodę, wpółotwarte oczy pałają, usta rozchylone okrążać uśmiech zaczyna, na skroni drga żyła silnych wzruszeń. Śni. To nie jest tylko spoczynek po trudzie, to nie jest zapomnienie cierpień tylko, to nie błoga, chwilowa snu nieświadomość — on promienieje jakiemś widzeniem wewnętrznem, używa nadzwyczajnego stanu uniesień, słodyczy niewysłowionej, szczęśliwy wciska głowę w głaz i słucha i oderwać się nie może... słucha z namiętną uwagą, hamowaną niecierpliwością, najcichszą rozkoszą... O, Allah! Allah jesteś wielki!

A potem Arab się zrywa, rześki, radosny, ręką oczy przeciera, lekko na grzbiet wielbłąda wskakuje, i dalej!

— Stój! — krzykną towarzysze — powiedz, co ci się śniło?

— Przyszłość widziałem! Opowiedzieć trudno. Co za szczęście; znajdę na świecie miłość! Nie pytajcie więcej; kto chce wiedzieć, niech głowę położy na kamieniu i słucha.

Przystąpił bliżej Murzyn. Kudłatą, czarną głowę rzucił silnie o głaz, jakby nią pukał w zamknięte wrota zagadnień przyszłych czasów Po chwili twarz mu pięknieć zaczęła... Poważnie wygładziły się rysy, czoło pod myśli napływem się wzniosło, usta przymknęły się kształtnie z wyrazem dumy; słuchał ze spokojem, wyroków kamienia, potem się nagle wyprężył, wyprostował i wyniosłym krokiem ruszył ku gęstwinie gdzie muła swego i juki zostawił.

— Stój! — krzykną towarzysze — powiedz, co ci się śniło?

— Przyszłość widziałem! opowiedzieć trudno. Co za szczęście! znajdę na świecie — wolność!

Po nim przystąpił dziki Zulus, brzydki, zły, niespokojny, przeżuwając ostatki surowego, suszonego mięsa, z głupim wzrokiem i niedbałemi, usty, niekarnymi ruchami, a złożywszy głowę na kamieniu, kręcił nią na wszystkie strony; proroczy sen go nie imał; słowo cudownych wy-

roków nie łatwo przedostać się mogło przez te ohydne zatłuszczone i splątane włosy; nie wiedząc sam, czego pragnie, a pełen głucho i ślepo nurtujących w nim żądz człowieczych wił się kapryśnie wśród trawy, nieuważny i roztargniony. Ale moc musiała mieszkać olbrzymia w piersiach tego granitu, bo uspokajał się i on nieznacznie, smętna ciekawość go opanowała, przymrużył oczy i słuchał wreszcie, ustami poruszając jakby pił z niewidzialnego źródła, i miękł w swej dzikości stopniowo, powoli. A gdy po długiej chwili wstał, był jak przemieniony, spokojny, łagodniejszy, skupiony w sobie, spojrzał w błękity i zabierał się do odejścia.

— Stój! powiedz, co ci się śniło?

— Przyszłość widziałem! opowiedzieć trudno, ach, co za szczęście! Znajdę na świecie prawdę!

Teraz przystąpił czwarty wędrowiec. Wahał się chwilę, czy doświadczyć ma cudowności kamienia, czy może nie warto? Te dzikie prostaki mogą w takie bredaie wierzyć, ale on, po europejsku wychowany, biały człowiek, który za kark trzyma wszystkie zwierzęta, plemiona i idee, on, żeby swe czoło kładł na jakimś tam kamieniu czczonym przez tych niewolników i barbarzyńców! Chyba dla żartu, dla wrażenia? Żądza wrażeń przemogła i ucywilizowana głowa położyła się na głazie. Dziwna to była głowa. Niespokojna, drgająca nerwami wszystkiemi, nieokreślonym wyrazem pożądania i nudy; na ustach zamiast uśmiechu siedział wstręt jakiś, jakby po dna czary, w oczach skakała niespokojna iskierka, na czole pięknem i dumnem wiła się jednak sieć lekkich zmarszczek świadczących o zwycięzkich pokus potędze, a w rzedniejących włosach tej trzydziestopięcioletniej głowy plątały się już księżycowe niteczki. Skronie mu uleżeć nie mogły w spokoju, zmęczony był ten człowiek bezmiernie i smutny. Namiętność Araba, pragnienie Murzyna, zuchwalstwo Zulusa, wszytko korzyło się wreście pod działaniem cudownego kamienia, ale ta rozerwana w sobie dusza opanować, ukoić, pocieszyć się nie dawała. Podnosił i kładł głowę, uśmiechał się, to wzdrygał, zaciekawiał i szydził, ale uleżeć nie mógł. Rwał się w rozdrażnieniu swojem i szarpał; roje dawnych wrażeń powstawały w nim, co chwila przecinając drogę nowym, tworząc stos połamanych zjawisk w duszy, dzieląc ją na krótkotrwałe, a przykre stany, których ogólnym skutkiem było niezadowolenie i nowej zmiany żądza. Raz świt genialnej myśli błyskał mu w oczach, a mądra bruzda skupiała w swej głębi sieć owych lekkich zmarszczek rozpiętych na czole, raz znów kaprys wargi wykrzywiał i apatja jak szronem pokrywała rysy, to namiętność wystąpiła nagle i niepohamowana, to bezbrzeżne znudzenie ją gasiło. Raz rozbijał się duch o doczesne brzegi ciała z potęgą oceanicznego żywiołu, raz przypływał leniwie do portu zmysłów tworząc nieczynne zastoje i limany. Człowiek ten bywał wszystkiem na chwilę, a niczem na dłużej; z możnością wielkiej twórczej siły, tlał w jakiejś niedbałej nieodpowiedzialności za swe stany, a czując, że tak jest, dręczył się tem boleśniej. Pielgrzymi którzy na kolej swoją czekali, ludzie ras dzikich i bujnych, niewyczerpanych męczącem życiem naszego świata, patrzyli na Europejczyka z litością, pogardą lub obrzydzeniem zmięszanem z obawą, szepcąc między sobą niechętnie: — Biały człowiek, on się niczego nie dowie... przeklęty! — Glista ruchoma, nie człowiek! On trupa ma w piersiach, umarł od wewnątrz i jest chodzącym cmętarzem samego siebie. — Czarownik! coś szepce sam, a nie słucha, jeszcze moc kamienia zamówi!

On na szczęście nie zrozumiał, co mówili i ruszał się dalej i szarpał na organie swych nerwów. Różnorodną wiedzą współczesną zmęczony umysł, wrażeniami stu wystaw, muzeów, widowisk przeładowana pamięć, podrażnione nadmiernie wyobrażenia, niemogąc nadążyć tłoczącym się zjawiskom, wyszukana zmysłowość, przyduszone uczucie, przyćmione sumienie, gwałtowna praca, walka o byt i rodzący się w niej egoizm, przytem nieustalone pragnienie szczęścia, a do tego wielki talent, cały ten materjał psychiczny wduszony w zwątlałe ciało, czynił z tego człowieka nienormalne stworzenie, wybitny typ psychy ludzkiej płynącej oceanem społeczeństwa.

Tymczasem, wymowne działanie kamienia biło potężnie o duszę artysty. Powoli, koił się jednak. Nie, nie był on jeszcze przeklęty, nie był jeszcze stracony, pożarty; ale był chorym orłem, którego trzeba było ratować. Wyjąć mu ten cierń z piersi, a odetchnie, zdjąć mu ten ciężar ze skrzydeł a poleci, pocieszyć go, utulić, ogrzać, a ożyje i wzniesie się na swoje wyżyny. Zamknął oczy i spał długo, głęboko, jakimś tytanicznym snem, który pokrzepia po chaosie doświadczeń, pierwotne wskrzesza siły i zdrowie wraca duszy.

Kamień, jakby sobie upodobał dziecię, zgnębione światem, dał pełniejsze niż tamtym wielkich idei widzenia, lał w duszę żądzę swobody i świętej prawdy zdrój czysty, miłości słodkie pragnienia; i marzył wędrowiec młody z całym zapałem artysty, na bujnych skrzydłach natchnienia lecąc w przyszłości bezdroża, i był na chwilę szczęśliwy, jak tylko człowiek być może, silny, czujący, wrażliwy, na łonie cudzej przyrody, pijąc piękności zdrój czysty... I kamień szeptał mu długo o wielkiej twórczej potędze aż artysta się ocucił, zerwał, powitał serdecznie towarzyszy, ściskając ich czarne dłonie i promienny zabierał się do odwrotu.

— Stój co ci się śniło?

— Przyszłość widziałem! powiedzieć trudno, któż to wypowie! ach, co za szczęście; znajdę jeszcze na świecie — natchnienie.

Potem rozeszli się wszyscy, gęstwina zesuwała się złotawym blaskiem zachodu, życie cichło dokoła. Na dzikich brzoskwiniach wisiały bez ruchu purpurowe, puszyste owoce, na liściu palmy sagowej siedział malutki ptaszek, rodzaj kolibra i płonął jak djament w kosztownych swych piórkach. Zaszeleściały liście, trzas[illegible] gałązki, coś się po pniu drzewa zsunęło n[illegible] [illegible]mię, z środka splątanych roślin wysunęła [illegible] rudawa, kudłata głowa, o kształtnych ry[illegible], zwierzęca i mądra, potem wysunęły się kudłate ramiona, postać cała; upewniwszy się że niema nikogo, stworzenie jednem skokiem było przy kamieniu, położyło głowę, słuchało chwilę, zerwało, się ryknęło śmiechem szyderczym i wpadło w las. Po orangutanie przyszedł poważny słoń, podumał, ludzi nie przedrzeźniał, jeno patrzył długo na kamień, próbował podważyć, ale bez skutku, więc się cofnął z godnością, obejrzał raz jeszcze, i poszedł, tworząc w zaroślach ciemny tunel za swoją osobą. Potem przyleciał jakiś ptaszek, siadł na głowie, zaczął piosnkę, ale mu nie szła, może był senny, zaostrzył więc dzióbek o granit i furnął do gniazda. Później płaz ciemny przemknął po kamieniu, przylgnął do płyty, drgnął na niej, wstrząsnął się i szmyrgnął w zioła, a za nim motyl jaskrawy nadleciał, musnął po głazie zmęczonemi skrzydłami i powlókł się umrzeć w gęstwinie powojów co na noc otwierały swe podłużne kwiaty jak trumny białe dla owadów. Czy cudowny kamień i zwierzętom wróżbę przyszłości powierzał? czy i dla nich miał jakie słowo tajemnicze, jaki ukryty los? któż zgadnie? kto potwierdzi? któż zaprzeczy? Potem las wysrebrzać się zaczął od promieni księżyca, duszna, zwrotnikowa noc oddychała głęboko, namiętnie, uspakającymi woniami, na kamieniu zebrała się drobna rosa, jak szron perłowy i błyszczała świetnie na piersiach głazu, a pod arkadami ogromnej agawy sunęły dziwne postacie z mgły i promieni, łączyły się, rozdzielały, pojawiły i nikły, powstawał świat bezcielesny już prawie, w złudnej szacie światła i wyziewów, skupiał się, plątał nad kamieniem i skraplał, lub ulaty-

wał w bezdrożne sf ry i pierzchał.

I tak, leży cudowny kamień w głębi gorących lasów Gwinei, a kto na nim głowę złoży; wewnętrzną mowę usłyszy i tajemnicę przyszłości, i szczęścia gorące tchnienia i prawdy słowo krzepiące, i żywe tętno miłości, i twórcze rytmy natchnienia.

Może i mybyśmy tam poszli posłuchać? co?

Ach, jakby to dobrze było oprzeć zmęczoną na piersiach tego dobrego kamienia.

Dawniej, to inny jakiś był zwyczaj, opierało się głowę pop[illegible] na ludzkiem sercu i słyszało się to samo. Ale wszystko się zmienia. Duch i świat toną w epokach przemian i coraz nowemi krążą drogami, może to taka teraz opoka geologiczna, że żyją głazy, a kamienieją piersi, że mówią kamienie, milczą serca.

Ale wasze serca są wyjątkowemi z tej formacji? Nieprawdaż? Wy jeszcze marzycie kochacie, tworzycie? Ale ty, ty jeszcze miewasz godziny myśli, uczucia, natchnienia? Nieprawdaż?

Och, nie mówcie mi, niemów mi, że tak nie jest, bo by mi leniej było powędrować do Gwinei, i w cieniu pierwotnych lasów, rozmarzoną głowę złożyć na tym dobrym, cudownym kamieniu.

Odessa 19 Grudnia 1893

Szczesna.

O sztuce przypodobania się mężom

pieśni czworo.

Gdy, jako motyl, którego odurzy
Woń czarodziejska woń, od stulistnej róży,
Młodzian przystąpi, piękna panno do cię,
Spiecz raków krocie.

I spłosz się, jak się płoszą leśne ptaki,
I tak się zrumień, jako polne maki,
Iżby mu była ta prawda przytomna,
Iżeś jest skromna.

A gdy ci zacznie w opowieści długiej
Mówić, że Amor wpisał go w swe sługi,
Że jego strzały, jak osy dlań leca,
Podróż się nieco.

A gdy takowe uczynicie targi,
Uśmiech przyjemny weź na piękne wargi
I spojrzyj czule swojem ślicznem oczkiem
Skromnie i boczkiem.

Gdy zaś po ślubie już i po weselu
Doszliście wspólnych zapobiegań celu,
Gdy obejmiecie pod szczęśliwą gwiazdą
Własne swe gniazdo, —

I gdy, kochając gorąco, a srodze,
Uczuciom waszym popuścicie wodze
Tedy go nieco, jak czynią gołębie,
Całuj po gębie.

Ale pieszczotą szafuj też obrzednio,
Byś mu delicją wydała się przednią.
Pomnij, że zbrzydną-ć najlepsze specjały,
Gdy jesz rok cały.

Drogą mu będzie przez tę pieszczot rzadkość
I piękność twoją i oblicza gładkość. —
To oszacuje usta twe i oko
Nader wysoko.

Po każdem lecie bywać zwykłą jesień,
Przemija pora uciech i uniesień,
Tedy, niewiasto, gdy to lato minie,
Myśl o kominie.

Bo rzecz niemała, opowiadam zasie,
Jak męża żona delicjami pasie,
Jak mu przysmaczkiem o każdej dnia chwili
Żywot umili.

Niech ma kołduny, dziwne niech pierogi,
Niech pieczeń przednią od swojej niebogi,
Nie żałuj pieru, imbieru, szafranu
Twojemu panu.

Ten jest albowiem na świecie porządek.
Gdy serce milknie, panuje żołądek.
O troskliwości twej smaku narzędzie
Sąd dawać będzie.

Skoro te rady spełnisz co do joty,
Nie poznasz, co to małżeńskie kłopoty
Męża zapędzisz, żoną będąc zacną,
Pod trzewik łacno.

Siedzieć tam będzie, jako mysz pod miotłą
Choćby go nieco od obcasa gniotło.
Wszystko, jak każesz, chętnie wnet uczyni,
Bo-ś gospodyni.

Byś przytem różnych zastrzegła się chimer,
Umiej dobierać też swój fraucymer:
Niech brzydkie będą, jak śmiertelne grzechy,
Dla twej uciechy.

To gdy uczynisz, zacna białogłowo,
Będzie-ć na ciele i na duszy zdrowo,
I słuchać każesz tej, tamtej i drugiej
Rad twego sługi...

Antyk.

Dybowski.

Znany podróżnik, Benedykt Dybowski, o którego powrocie z Afryki do Paryża pisano niedawno obszernie, odjechał raz jeszcze pod zwrotnik. Będzie to czwarta z rzędu jego podróż afrykańska.

Dybowski stanie najpierw w Dakarze.

Ostatnią misię swoją do Afryki przedsięwziął Dybowski z polecenia paryskiego komitetu afrykanskiego „(Comité d l'Afrique franç ise)". Przypominamy, że jeździł podówczas podróżnik nasz do Kemé, w celu pomszczenia śmierci Crampela, dla zebrania niedobitków rozproszonej wyprawy, dla rzucenia podwalin osady w tych nieeksploatowanych jeszcze stronach. Choroba ciężka nie pozwoliła mu wywiązać się należycie z polecenia i trudy, rozpoczęte przez Dybowskiego podjęła w dalszym ciągu wyprawa p. Maistre.

Nie jeździł Dybowski do Afryki w charakterze zdobywcy, jeno jechał tam jako uczony. Jest on profesorem w paryskim instytucie agronomicznym, a po każdym powrocie do Francji ze stron odległych wzbogaca Dybowski zbiory etnograficzne paryskiego Muzeum przyrodniczego Po ostatnim powrocie swoim otworzył tamże Dybowski specjalną wystawę przywiezionych z Afryki narzędzi wojennych, do domowego służących uż tku, oraz wypchanych zwierząt, wystawę, przez Paryżan zwiedzaną tłumnie.

Dziś przedsiębierze Dybowski z tegoż samego zakresu wyprawię, tym razem do Kongo.

W głąb kraju, od przylądka Lopez, rozciąga się pas żyznej, ale moczarami pociętej, zatrutej najniezdrowszym klimatem ziemi. Bogata to strona niezmiernie, zwłaszcza w faunę i florę; rośnie tam drzewo kauczukowe w wielkiej obfitości i roją się małpy olbrzymie. Kraj to znany nader mało. Przeciął go tylko przez długość całą Mizon czasu wyprawy swojej, ale w głąb nie posunął się wcale, zwiedzając jedynie wybrzeże morskie.

Otwarte tam pole niemal dziewicze dla poszukiwań geograficznych i naukowych; to też pociągały Dybowskiego strony te oddawna ku sobie i pojechał tam, pełen zapału i energji.

Misję wziął na siebie ostrożną, daną i przez ministerjum oświaty i przez ministerjum rolnictwa i przez ministerjum handlu. Towarzyszą mu jako pomocnicy: ajent handlowy i przyrodnik-preeparator. Wystarczy to dla zrozumienia, że misja Dybowskieko nie ma żadnego odcienia politycznego; jest nawskróś pokojową. W Dakarze weźmie Dybowski z 10 ciu strzelców, co nad bezpieczeństwem karawany czuwać będą. Karawana składać się będzie mniej więcej z 40 osób.

Aby nie wyczerpywać sił na marsze i kontramarsze niepotrzebne, zażądał Dybowski, aby statek towarzystwa Fraissinet wyrzucił go na tychmiast po okrążeniu przylądka Lopez. Tedy w Nogowe albo w Kamie podróżnik nasz wraz z towarzyszącemi mu osobami wysiądzie na ląd afrykański; statek popłynie dalej, a podróżnicy, zostawieni własnemu przemysłowi, zapuszczą się w głąb kraju, w strony prawie że ludzką stopą nietknięte.

Misja oprze się o wybrzeża afrykańskie mniej więcej w połowie stycznia r. b., podąży na wschód, potem zwróci się ku południowi i wróci z powrotem pod przylądek Looez.

Dybowski zamierza wrócić do Paryża jesienią r. b. Pomyślnej podróży!

Piękność zawodowa.

Pewien uczony antropolog twierdzi, że gdyby dać w rękę dzikiemu papuasowi lub niemniej dzikiemu aszantowi fotografję której z *naszych* powszechnie uznanych piękności niewieścich, dziki ów człowiek nie wiedziałby, co robić z tym fantem: „Piękność“ wydałaby mu się karykaturą istoty ludzkiej.

Japończycy nie są wcale dzikim narodem, a jednak wyobrażenia ich o piękności niewieściej różnią się bardzo od naszych pojęć. Japończycy nie cierpią blondynek; brzydzą się pełniejszemi nieco kształtami; t. zw. „klasyczne rysy“ nie mają dla nich żadnego powabu. Czemże jest tedy „piękność niewieścia“ w rozumieniu japończyków?

Na to pytanie odpowiadano nieraz. Świeżo zaś w kalifornijskim miesięczniku *The Californian Illustrated Magazine* zabiera głos w tej sprawie pani H. Gregory Flescher, rozpowiadając wiele ciekawych rzeczy o japonkach w ogóle, a o *pięknych* japonkach w szczególności.

Łagodne wejrzenie siostry miłosierdzia, uśmiech dziewczęcia, co ujrzało nagle ukochanego, i serce dziecka zamknięcie w ciało wiotkie delikatne, zwinne, osadźcie na główce zwój ciemnych, gęstych włosów, ubierzcie to wszystko w powłóczystą, jaskrawą szatę jedwabną, a będziecie miele piękność japońską. Delikatne i subtelne musi to być stworzenie; niemal chciałoby się powiedzieć: alabastrowa figurynka, malowaną pastelami. Wyrafinowany gust mają japończycy.

Piękne japonki są pięknemi dla ludzi niepowszednich upodobań, dla ludzi pięknie rozwiniętych umysłowo, mających smak wydelikacony. I nietylko powabami, wdziękiem ciała ozdabiać się musi piękność japońska: dowcip, spryt wykształcenie, trochę artyzmu powinna koniecznie posiadać. Powinna rozumieć półsłówka i sama umieć półsłówkami prowadzić rozmowę; w subtelnem ciele mieszkać powinien duch niepowszedni.

Dopiero kobieta, łącząca w sobie wszystkie wymienione przymioty, uznana zostaje za piękność.

A piękności tych szukać należy wśród arystokratycznego świata. Tam ich najwięcej. a można śmiało twierdzić, że naród cały japoński zna je, wie, gdzie, w której rodzinie jest „piękność“ taka. O pięknej kobiecie mówi się w Japonji „nasza chwała!“ tak zupełnie, jak gdzieindziej o swojskiej wielkiej, śpiewaczce lub aktorce. Ale te arystokratyczne piękności mało dla ogółu dostępne. Są i inne niemniej cenione a odgrywające istotnie oryginalną rolę w społeczeństwie japońskiem.

Są to t. zw. „piękności zawodowe“ — jak je nazywa autorka cytowanego studjum. Oto np. podrasta gdzieś w jakiejś rodzinie dziewczka, o której da się powiedzieć, że będzie kiedyś pięknością. Rodzice natychmiast zaczynają ją kształcić na — piękność. Przedewszystkiem uczą ją grać, tańczyć, śpiewać, uczą pięknie mówić, z gracją chodzić, rozwijają w niej pewną dystyngowaną zalotność. To będzie z czasem piękność zawodowa, to będzie z czasem geischa (geisza) czyli artystka.

Piękność taka odgrywa w społeczeństwie japońskiem mniej więcej taką rolę, jak u nas wirtuozka muzyczna lub artystka sceniczna. Tylko że geischa nie produkuje się publicznie. Zapraszają ją tylko do towarzystw prywatnych, do klubów (np. do klubu Mowej Kwan w Tokio, będącego czemś w rodzaju paryzkiego Jockey-club'u); tam geisha pozwala na siebie — patrzeć, a tańcem, grą, deklamacją, rozmową zabawia towarzystwo. Ludziska pasą oczy jej wdziękami, gawędzą, słuchają ciętych odpowiedzi, radują się zobaczeniem tylu naraz rozmaitych powabów.

Zawodowemi pięknościami zajmuje się publiczność japońska zupełnie w takiej mierze, jak u nas osobistością głośniejszej nieco gwiazdy teatralnej. Biografie ich i przygody życiowe zapisuje skrzętnie kronika dziennikarska. Występy ich komentowane są obszernie w salonach i w prasie

Bywa, że ktoś raut wydaje. Bez geishy, bez kilku nawet zawodowych piękności raut byle świetniejszy obejść się nie może. Zupełnie jak bez gry, śpiewu lub deklamacji europejskie większe zebrania towarzyskie.

Piękność zawodowa ma zawsze kółko swoich admiratorów, swoją partję, swoich przysięgłych i przelotnych wielbicieli. Sypią się do stóp jej zaproszenia na zabawy, zebrania, objady. Nie ma chwili swobodnej. Zawód to ciężki, ruchliwy, wyczerpujący. Pamiętajmy, że „piękność“ japońska nietylko pozwala siebie — oglądać; ona musi ślicznie rozmawiać, dowcipnie zabawiać towarzystwo, często grać, śpiewać lub tańczyć.

W takich warunkach nie pytajmy o moralność geishy. Zdarza się tak, zdarza się owak, jak z losu i okoliczności wypadnie. Dość na tem, że piękność zawodowa błyszczy lat kilka na przemian to w Tokio, to Kioto, grosza zbierze moło-wiele, imieniem swojem kraj zupełni, a potem, gaśnie, jak tyle gwiazd scenicznych, więdnie, jak tyle róż salonowych, znika, jak ciewiotkiej, subtelnej, powiewnej, drażniącej, zalotnej istoty, po której zostaje kilka ciętych odpowiedzi, stos wizerunków, odtwarzających ją w najwdzięczniejszych pozach, trochę porozrzucanych tu i owdzie serc i echo dalekich szmerów szeleszczącej, wzorzystej, jedwabnej sukni...

I los to bodaj wszystkich „patentowanych“ piękności na całym bożym świecie.